



KRZYSZTOF MADEJ

wiceprezes NRL

Kapłan wiary krytycyzmu

Drugiego lutego roku bieżącego, tj. 2020, mija 20. rocznica śmierci Profesora Jana Nielubowicza, który zmarł drugiego dnia, drugiego miesiąca 2000 r.

Nie znam symbolicznego znaczenia tego układu dwojek i zer w dacie śmierci, ale kiedyś je poznam. Tymczasem chciałbym na chwilę zatrzymać się przy tej rocznicy (następna okazja będzie 2 lutego 2022 r., kiedy wypadnie 22. rocznica) i z tego powodu wspomnieć postać Profesora. Przez dwadzieścia lat nigdy się nie zajmowałem pisaniem wspomnień, a za dwa lata świat może być już zupełnie inny i nie będzie takiej, jak dziś, okazji, więc czynię to teraz.

Mówi się i pisze we wspomnieniach i nekrologach, że człowiek po śmierci jest obecny wśród żywych tak długo, jak długo obecna jest pamięć o nim wśród tych, którzy zmarłego znali. Pamięć o Profesorze Nielubowiczu, taka bezpośrednia i osobista, choć jest jeszcze wielu, którzy z nim żyli i współpracowali, powoli wygasa. Odchodzi z życia zawodowego, a czasami i z tego świata, pokolenie Jego uczniów. Drugim sposobem na pozostanie w pamięci potomnych jest pozostawienie po sobie dorobku, który dla potomnych będzie miał wartość, którą oni będą cenili i z niej korzystali w swoim życiu. Pisarze, malarze,

kompozytorzy oraz niektórzy wodzowie i politycy mają pod tym względem lepiej. Lekarze gorzej. Dzieła ich sztuki (o uczniach już powiedziałem), najlepiej wyleczeni i najgenialniej nawet zoperowani chorzy, w końcu też umierają i nie mogą zaświadczać o geniuszu swojego dobroczyńcy. Z kolei rozwój nauk medycznych jest ostatnio tak gwałtowny, że dorobek jednego

“

Z tego zapewne względu tak głęboko zaangażował się w proces reaktywacji samorządu lekarskiego, mówiąc, że jego istnienie jest drobnym wprowadzie, ale niezbędnym i bardzo istotnym elementem demokratycznego i wolnego państwa.

pokolenia uczonych szybko stają się mało przydatny dla następnego. Są oczywiście wielcy odkrywcy z przeszłości, ale ich zasługi są już tylko opowieścią historyczną i nie mają bezpośredniego znaczenia dla bieżącej praktyki klinicznej i działalności badawczej. Piśmiennictwo naukowe Profesora Nielubowicza nie ma już takiego znaczenia jak kiedyś, choć słyszałem, że ten i ów specjalizujący się w chirurgii zagląda niekiedy do „Ostrych schorzeń jamy brzusznej”. Trwaniu pamięci o Nielubowiczu przeszkadza też jeszcze jedna okoliczność. Szczyt Jego działalności przypadła na zupełnie inną, od obecnej, epokę. A więc pouczenia



i przykłady postaw z tamtej epoki „realnego socjalizmu” zupełnie nie pasują do dzisiejszych czasów. A mimo to...

Profesor Nielubowicz był człowiekiem wartości. Był nauczycielem, nie w tym administracyjnym znaczeniu funkcji wynikającej z zatrudnienia, lecz roli, jaką pełnił w środowisku. Nie tylko dawał przykłady przywiązania do wartości w codziennym życiu zawodowym, ale te wartości głosił. Jakbyśmy powiedzieli nieco archaizującym językiem, je przepowiadał. Ta równoległość deklaracji i praktyki czyniła Go nauczycielem wiarygodnym. Ktoś się teraz zaśmieje i powie, że dobra materialne to też wartości. Nielubowicz miał łatwiej. W tamtych czasach dorobienie się na medycynie nie było takie łatwe i częste jak dzisiaj, więc jednak pozostaniemy przy wartościach wyższych. Z tego zapewne względu tak głęboko zaangażował się w proces reaktywacji samorządu lekarskiego, mówiąc, że jego istnienie jest drobnym wprawdzie, ale niezbędnym i bardzo istotnym elementem demokratycznego i wolnego państwa.

W tej służbie wartościom był też nauczycielem w sensie praktycznym i dosłownym. W naszej klinice codziennie przed odprawą lekarską o godzinie 7:30 Profesor miał godzinne seminarium ze studentami, ze zbadaniem jednego chorego, omówieniem przypadku oraz teoretycznym i naukowym rozwinięciem konkretnej patologii. Kiedyś zapytałem, dlaczego narzuca sobie taką straszną dla siebie, ale przede wszystkim dla młodych ludzi, dyscyplinę rozpoczynania nauki skoro świt. Odpowiedział mi w sposób zaskakujący: bo najważniejsze, co mamy tutaj do zrobienia, to uczenie młodych lekarzy przyszłej profesji (na drugim miejscu stawiał leczenie chorych, na trzecim i ostatnim uprawianie i rozwijanie nauki). I dodał: komuna kiedyś się skończy, a ci, których wykształcimy, będą uczyć następnych tak, aby w przyszłej Polsce nie zabrakło profesjonalistów. Porównywał

Odpowiedział mi w sposób zaskakujący: bo najważniejsze, co mamy tutaj do zrobienia, to uczenie młodych lekarzy przyszłej profesji (na drugim miejscu stawiał leczenie chorych, na trzecim i ostatnim uprawianie i rozwijanie nauki).

medycynę amerykańską i polską, i konstatował, że naszym głównym problemem jest brak profesjonalizmu.

Pewnie bał się zerwania ciągłości i pewnie boleśnie przeżywał zerwanie ciągłości, której sam doświadczył. Dla mnie, młodego lekarza, koniec poprzedniego systemu za mojego życia był poza wyobraźnią. On wiedział, że komuna się skończy, a teraz ja już wiem, że wszystko się kiedyś skończy. To, co jest teraz, też.

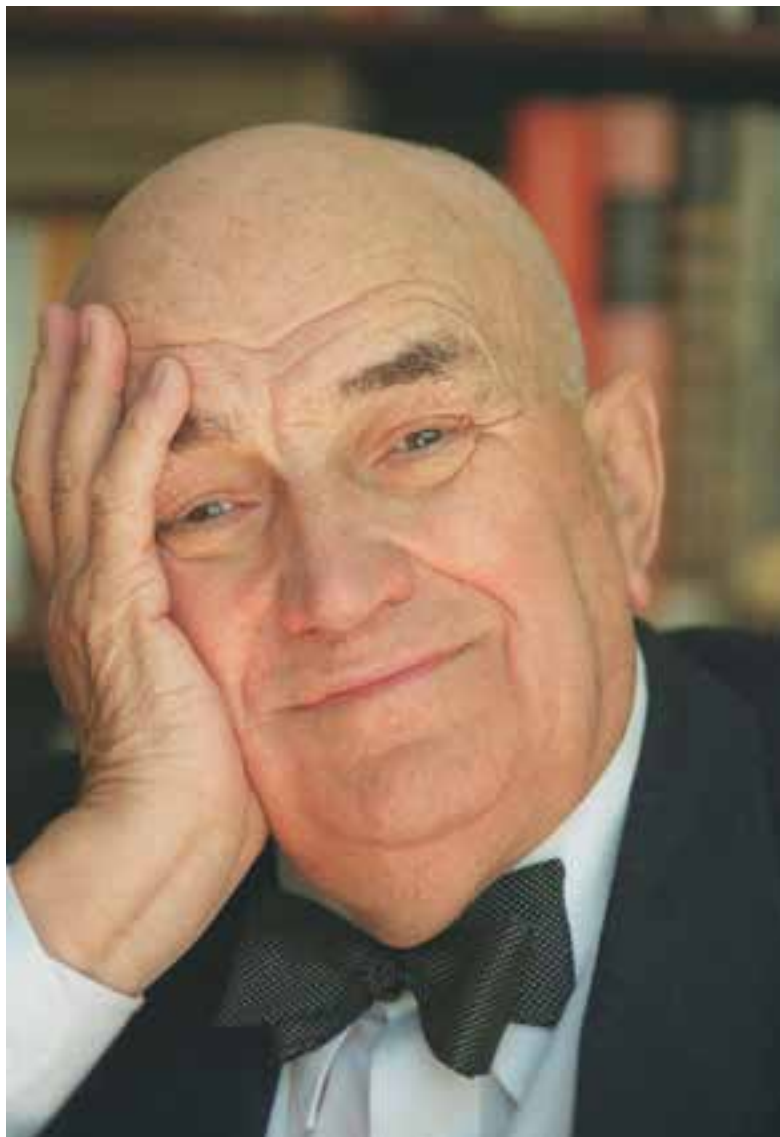
Był nazywany jednym z ostatnich tzw. przedwojennych profesorów, mimo iż studia medyczne ukończył w 1939 r. i do zburzonej Warszawy wrócił w roku 1945 z jednym plecakiem, w którym miał bieliznę, puszkę smalcu i traktat Brockmana o alergii. To bardzo trudna do objaśnienia kategoria językowo-pojęciowa. Chodzi o pewien rodzaj roli społecznej, wynikającej z wiedzy, godności i aury. Był obywatelem świata, członkiem międzynarodowej społeczności uczonych oświeconej Europy. Pojęcie to powoli odchodzi w przeszłość, bo pewnie jest w pełni zrozumiałe i przydatne tylko dla tych, którzy żyli na przełomie dwóch epok. Szczególnie gdy epoki te – wolnego państwa i azjatyckiego komunizmu – w praktyce historycznej okazały się tak diametralnie różne. Współczesne, kolejne pokolenia obywateli (i lekarzy) urodziły się, kształciły i robią kariery w jednej epoce i nie mają potrzeby używania pojęć różnicujących ludzi ze względu na różny bagaż doświadczeń historycznych i wynikających stąd postaw.

Zasłyszalem, tu pewnie popełniam jakąś niedyskrecję, bo zdradzę coś z przekazów rodziny Profesora (proszę o wybaczenie), że miał On powiedzieć kiedyś, że w życiu przyświecała mu następująca hierarchia wartości: szlachcic, Polak, katolik, chirurg, lekarz. Uderzyło mnie w tej wyliczance to, że lekarz jest na końcu. W nekrologach naszych luminarzy medycyny i w rozlicznych laudacjach, za życia wygłaszanych na ich cześć (oraz w różnych samochwalczych aktach strzelistych), lekarska powinność i bezgraniczne poświęcenie w służbie chorego człowieka pojawiają się zwykle na samym początku, tak, jakby sama profesja lekarska nadawała człowiekowi pewien ponadprzeciętny cenzus kulturowy i moralny. Z wyliczanki Nielubowicza wynikałoby, iż jest odwrotnie, że żeby być naprawdę dobrym lekarzem, musi być spełnionych kilka niezbędnych warunków wstępnych.

Kiedyś, nie pamiętam już z jakiego powodu, w rozmowie z Nielubowiczem popisałem się przeczytaną gdzieś typologią szlachectwa. Przytoczyłem, że są wśród ludzi następujące rodzaje szlachectwa: urodzenia, ducha, wiedzy oraz pieniądza. Pewnie miała to być jakaś prowokacja dodająca pieniądze do wyższych porządków egzystencji ludzkiej. Nielubowicz nie dał się sprowokować. Miałem wrażenie, że nie oponując, przyznał mi rację. Zadumał się tylko i po chwili odpowiedział: wie pan, panie kolego, jest jeszcze jeden rodzaj szlachectwa, którego pan nie wymienił – szlachectwo krytycyzmu.

Teraz, po latach, gdy Go wspominam, jawi mi się, jako kapłan wiary krytycyzmu. Był typem intelektualisty, który intelektem ogarnia otaczającą rzeczywistość, poznaje ją i nazywa. W klinice, w sali konferencyjnej, nad drzwiami wisiało oprawione zdjęcie frontonu domu Jana Długosza w Krakowie (ul. Kanoniczna 25) z napisem: „Nil est in homine bona mente melius” (ponieważ piszę do gazety lekarskiej, tłumaczenia nie podaję), a na innej ścianie w tej sali tabliczka z napisem: „Naucz się godnie znosić sukces bliźniego”. Śmiała się oczywiście młodzież z tych egzotycznych sentencji, tyle że śmiech uleciał, a sentencje pozostały (w głowach niektórych). Był wytrawnym znawcą polityki i psychologii, z taką precyzją opisu i formułowania wniosków, że zacząłem Go podejrzewać, że nieobce mu są naukowe lektury z zakresu psychologii behawioralnej. Takie zainteresowania były raczej niepojęte z pozycji profesora chirurgii. Kiedyś zapytałem Go o coś, z kategorii stosunków międzyludzkich w naszym środowisku, o czym zakładałem, że nie może mieć zielonego pojęcia. Bezbłędnie rozczytał intrygę i zrekonstruował fakty, a moje zdziwione spojrzenie skwitował stwierdzeniem: panie kolego, ja jestem już tak stary, że widzę przez ściany.

Po co o tym wszystkim piszę? Bo przy wszystkich obiektywnych trudnościach we wskrzeszaniu pamięci o Janie Nielubowiczu, jedna rzecz jest cenna i potencjalnie do uratowania. To, jakim był szefem zespołu, liderem środowiska, kierownikiem katedry i kliniki oraz rektorem. Przy wszystkich zmieniających się i dezaktualizujących wszystko okolicznościach tego świata, zjawisko leadershipu*, jako głęboko zakorzenionego w niezmiennej naturze ludzkiej, godne jest upamiętnienia, a przede wszystkim przeanalizowania. Był szefem charyzmatycznym, niezwykle dynamicznym i pełnym unikalnego, własnego stylu (mam tu na myśli nie tylko sławne muszki,



Prof. Jan Nielubowicz,
26 sierpnia
1999 r.,
Warszawa

ciemne garnitury szyte z rapaportu przywożonego z zagranicy, buty od Kielmana, ale pewien typ poczucia humoru i dystansu do samego siebie).

Marzy mi się taka zbeletryzowana biografia Profesora Nieubowicza, którą to książkę można by dawać w prezencie nowo mianowanym kierownikom klinik i nowo wybranym rektorom. Może w nowych czasach, kiedy składka na ubezpieczenie zdrowotne będzie tak wysoka, że na wszystko w medycynie wystarczy, budżet państwa dorzuci drugie tyle, żeby było nie tylko dobrze, ale podwójnie bardzo dobrze, a lekarze staną się finansową elitą „tego kraju”, ci nowo mianowani nasi nowi nauczyciele i szefowie znajdą w niej jakąś instrukcję, która podpowie im, jak zaskarbić sobie u potomnych taką pamięć, jaką ma (powinien mieć) Nielubowicz.

PS Kiedyś Profesor Nielubowicz ze zmartwioną (udawaną) miną powiedział mi, że już chyba przeszedł do kategorii „Świętych Starców”. Zawołał hydraulika, żeby mu naprawił zepsuty kran. Hydraulik przyszedł, naprawił i nie chciał wziąć pieniędzy. „Bo wie pan, tylko od świętych starców nie wypada brać pieniędzy”. Po czym się roześmiał. ■

* To pojęcie przytaczam specjalnie, zacerpnąwszy je z nowomowy, jako ukłon dla nowoczesności.